



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Jan Ludwik Uhland. — Zielone Okulary, fotografie bez retuszu zdjęt z natury, Wołody Skiba. — Korespondencja z Krakowa. — Korespondencja z Wiednia. — Pogadanka. — Symbolika kwiatów i roślin. — Obrazy na wystawie zachęty sztuk pięknych w Warszawie. — (Wiersz). — Kobieta i Mężczyzna w zestawieniu. Wyłączne przymioty kobiety według Ernesta Legouve przez Klemensa Podwysockiego. — Wiadomości Bibliograficzne. — Doniesienia literackie. — Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszewego. — Doniesienia. —

Jan Ludwik Uhland.

ur. 1787 um. 1861.

Dając w przekładzie kilka pieśni Uhlanda, niepodobna mi nieopowiedzieć je, choć krótkim wspomnieniem zmarłego poety; — jest on może jedną z najjaśniejszych postaci, w nowoczesnej literaturze niemieckiej.

Urodzony w Wirtembergu, w starożytnym mieście Tybindze, przeszedł wydział prawny w tamtejszym uniwersytecie i w 23 roku życia, otrzymał stopień doktora Praw. Przedtem już jednak oddał się praktyce jurysdykcji i był adwokatem a następnie zajął urzędową posadę w ministerjum sprawiedliwości w Stugardzie. Wkrótce jednak, a mianowicie w r. 1819, wybrany deputowanym do Zgromadzenia stanów w Wirtembergu, był członkiem komitetu, a chociaż w 1830 r. powołany na profesora literatury niemieckiej w rodzinnym mieście Tybindze, usunął się z widowni publicznej. We trzy lata jednak, powrócił do składu sejmu a w r. 1848 był jednym z najbardziej czynnych i poważanych członków niemieckiego narodowego Zgromadzenia.

Początkowe poezje Uhlanda, znane były w periodycznych pismach niemieckich od r. 1806, ale dopiero podczas wojen napoleońskich, pieśni jego nabrały rozgłosu i zyskały popularność, o której wymownie zaświadcza około dwudziestu wydań jego poezji. Popularność ta zupełnie jest usprawiedliwioną. Niemówiąc już o zaletach formy, treść każdego chociażby najmniejszego utworu Uhlanda, cechuje czystość uczucia, prawosć myśli i szlachetność dążeń. Zda się, że wpatrzony za młodu w umiłowany ideał Prawa, czuł się ciągle, jakby otoczonym jego świętością i dla tego może, wolnym był o ironji i od tych swawolnych zbroceń i igraszek obrachowanych na efekt, któremi zyskuje się chwilowy poblask, z ujmą godności poety i człowieka. Sposób też, w jaki traktował podania ludowe i drobne obrazki z życia potocznego, nadzwyczaj jest zajmujący. Każda króciutka ballada albo romans, w kilku mistrzowskich rysach, szkicuje skończony obraz. Powietrze gór rodzinnych, śpiewy ptaszek, szum lasów, fale traw bujnych, i szmer strumieni, z odgłosem gromów, przy drżącym ogniu błyskawic wszystko to odbiło kolejnie, w miłosnej piersi poety. Lecz, może najoryginal-

niejszą stroną poezji Uhlanda, jest to właśnie, że często, surowe na pozór pojęcia Prawa, przelewał w pieśni, jakby sprawdzając, że idea praw społecznych, łatwo się nadaje do form Piękną. Małą próbkę tego znajdują czytelnicy w umieszczonej niżej piosnce, pod tytułem „Nowa Muza.“

Uhland oprócz zbioru poezji, zostawił kilka dzieł w prozie, poświęconych wyłącznie uczonej badaniom mitologicznych starożytności albo pieśni Ludu.

1.

PIEŚŃ GÓRSKA.

W górach pasę trzody moje,
Wyżej pysznych zamków stoję:
Tu najwcześniej słońce wschodzi,
I najpóźniej z tąd odchodzi,
Jam jest dziecię gór!

Tu matecznik górskich zdroj,
Z pod kamienia wprost mnie poi,
Z szumem tryska ze skał lona,
Ja go chwytam w me ramiona...
Jam jest dziecię gór!

Mą słuściwą są te góry,
Tu gromowe ciągną chmury,
W cztery świata wyją strony,
Lecz mój pieśni, wyższe tony...
Jam jest dziecię gór!

Znam pioruny, błyskawice,
I gdy niszczą okolice,
Wołam z wyżyn głosem gromu:
„Strzeżcie ojca mego domu!“
Jam jest dziecię gór!

2.

ZAKONNICA.

W cichych, klasztornych drzew cieniu,
Snuje się biała dziewica,
Księżyc lśni smutne jej lica,
I Izą miłości, w milczeniu,
Drży jej zmęczona żenica.

„On umiał! błogo mi będzie!
Zakonną pozbywszy twogę,
Jak dawniej, kochać go mogę!
On stanął w aniołów rządzie,
A kochać aniołów — mogę!“

Chwiejącym się idzie krokiem,
Przed obraz Boga-rodzicy,
Co świeci jak w błyskawicy,
I patrzy matczynem okiem,
W serce, tej czystej dziewicy.

I na twarz padła skruszona,
I długo — za nim na wieki,
Martwe zawarła powieki
Patrzyła w niebo natchniona...
Aż z szat jej — spadła zasłona!

3.

Z ZA KRATY.

Skowroneczku mal-łki!
Jak czarownemi dźwięki,
Spiew twój rozbrzmiewa w góry.
Ty mnie chwytasz wraz z sobą,
Spiewam — lecę za tobą,
Ku słońcu, wyżej, za chmury.

Skowroneczku! gdy potem
Zmilkiesz — i szybkim lotem,
Spadasz na łąkę kwiecistą,
I ja milknę w tej dobie,
I upadam w żalobie
W toń mroku i pleśń nieczystą!

4.

CZEŚĆ DOMU.

Bezpieczny wstap w nasze progi,
Bądź miłym gościem witany,
Zdejm płaszcz, pył otrząś z nogi,
Złóż kij pielgrzymi u ściany.

Zajm pierwsze miejsce u stołu,
Cześć winna gościowi służy,
Posił się z nami pospołu,
Po ciężkich trudach podróży.

Jeśli cię zawiść niegodnie,
Z rodzinną rozłącza strzechą,
Pod naszą, spocznij swobodnie,
Z przyjaźni naszej pociechą.

Blagać cię tylko zostaje:
Uszanuj gościa bez sromu,
I swojskie nam obyczaje,
I świętą dla nas — Cześć domu!

(d. c. n.)

ZIELONE OKULARY.

FOTOGRAFJE BEZ RETUSZU

zdjęt z natury

Włodzy Skiba.

(Dokończenie).

XI.

Nie opisywaliśmy położenia w jakim się znajdowała panna Julja od dnia, w którym spostrzegła zmianę frontu pana Jana. Położenie to było takim iż gdyby która z czytelniczek naszych mogła mieć jaką nieprzyjaciółkę, toby go pewno tej nieprzyjaciółce nie życzyła.

Wystawiała ona pana Jana na próbę, mogłoby się zatem komu wydać i mogło się wydać jej samą, że go nie kochała jeszcze. Było jednak przeciwnie, chciała go wypróbować dla tego tylko, że była pewną iż z próby wyjdzie zwycięzko, próbę ową doradziła jej więc nie żadna niepewność serdeczna lecz miłość własna. Pragnęła oświetlić, uzupełnić swój tryumf, uczynić go w swoich oczach olbrzymim, niezmiernym w oczach przyjaciółki, którą o pomoc w tej mierze prosiła. Powiedziała jej że to będzie egzamin, spodziewała się zaś że nastąpi nie egzamin ale popis uroczysty.

Zawiodła się. Cierpiało nad tem jej serce, miłość własna bolała.

Przez kilkanaście dni zmieniała się, zbladła, zmierzniała. Łzy, których utulić nie mogła w obec Anny były pierwszymi, ale ostatnimi nie były. Codzień, gdy była sama, gdy w panińskim swym pokoiku zabierała się do spoczynku, przychodziły jej czarne, smutne myśli, a kąciaki oczek zaczynały świecić jak brylanty. Brała wtedy chusteczkę batystową i te brylanciaki boleści zbierała w nią. Nie chciała sobie pozwalać płaczu. Pożegnanie *Czajłd-Harolda* przychodziło jej na myśl z małą odmianą:

„Czegóż mam płakać?... za kim i po kim?...
Kiedy on po mnie nie płacze?“

Ale kiedy oczy chcą płakać gwałtem to chusteczka batystowa nie na wiele się przyda. W kilka chwil potem oczy zażawily się znowu, z ust wydierała się mimowolnie jakaś na ród mężki tyrada, i już nie było sposobu — płakała.

Czas jest lekarstwem na wszystkie boleści, ale czyż można nazwać czasem dni kilkanaście?... W dziejach cierpienia sercowych jest to tylko chwilka. Przez te dni kilkanaście serdeczna rana panny Julji ledwie zablizniać się począła i na najmniejsze przypomnienie pana Jana krwawiła się na nowo. Była to jeszcze faza w której czy to oddalonego albo straconego kochanka, czy przeniewiercę wspomina się „co dnia,“ — naturalnym rzeczy biegiem przyszłoby później do wspomnień „co tygodnia, a potem „co miesiąca,“ a nakoniec „co roku,“ nim jednakże to nastąpiło odbyła się wyżej opisana scena między Anną i panem Janem, a nazajutrz po niej Anna z rana przyszła do bolejącej bohaterki naszej.

Te odwiedziny nie bardzo były pożądane przez pannę Julję i wcale niespodziane dla niej. Choć sobie tego nie mówiły, a nawet starały się nie dać sobie tego zrozumieć, dwie przyjaciółki ostygły bardzo dla siebie od czasu próby, jakiej się Anna podjęła i która jej się tak niespodziewanie powiodła. Gdyby nas niepomówiono o złośliwość, powiedzielibyśmy, że bez tego ostygnięcia obejść by się nie mogło nawet w takim razie, gdyby się próba nie była powiodła. Teraz panna Julja miała żal do Anny, żal którego niesłuszność czuła, którego się wstydziała, ale którego przemódz nie była w stanie,

gdyby się Annie nie było udało przezyciężyć serca pana Jana, *byłaby* miała żal do panny Julji, czułaby że się gniewa niesłusznie, wstydziałaby się swego gniewu, a przecież gniewałaby się. Gniew jest uczuciem które ma daleko mniej kłopotu w pozyskaniu wzajemności jak miłość, nawet wówczas gdy go taimy udziela się stronie przeciwniej, nie ma więc wątpliwości że i w razie niepowodzenia próby, rzeczywista przyjaźń dwóch koleżanek z pensji byłaby się zmieniała w tę maskę życzliwości, z jaką się teraz po jej udaniu witały.

Po co Anna przyszła do panny Julji?... czy żeby ją pocieszyć w jej zmartwieniu wiadomością, że ukarała przeniewiercę odkoszem?... czy może żeby ją natchnąć nadzieją, że pan Jan wróci do niej i że jego przeniewierstwo było rodzajem albo chwilowego obłądzenia, który przebaczyć należy, skoro się z niego uleczył, albo jakiego strategicznego postępu, który wcale na gniew nie zasługiwał. Nie, cel przyjsia Anny był inny.

— Przynoszę ci nowinę Juleczko, — rzekła wchodząc z przymuszoną cokolwiek wesołością, — wielką nowinę, tylko mi nie zemdlęj...

Panna Julja nie potrzebowała być zbyt domyslną, że nowina nie mogła dotyczyć kogo innego jak pana Jana. Spodziewała się nowego, tą razą stanowczego ciosu, nie myślała jednakże dać poznać po sobie, że ją ten cios boli, skłamała uśmiech i rzekła z wysiloną wesołością połączoną z troszką ironji.

— Ręczę ci, że odgadnę... oświadczył ci się i... przyjąłś.

— O! o! *comme ça va vite chez toi, ma chère*, — odrzekła Anna z pewną urazą, — i przyjął, proszę!... a słowo?

— Żartowałam, — odrzekła panna Julja, nie przepaszając za podejrzenie, — cóż więc tedy?..

— Pierwsze zgadłaś... oświadczył mi się wczoraj.

— A ty?..

— Ja dotrzymałam słowa... powiedziała mu *monsieur, vous vous êtes trompé de la porte*, nie pukaś tam gdzie cię kochają.

Panna Julja zmarszczyła brew cokolwiek, ale dalsze słowa Anny rozpozgodziły ją natychmiast.

— On na to... ale bo to cała scena, powiadam ci, żywo opowiadała Anna, — on na to poprostu się zapytał jak ma tę odpowiedź rozumieć, a ja mu pozwoliłam wytłumaczyć ją sobie jak mu się podoba. Wtedy dopiero pan Jan zmienił się w melodramat, nie wystawisz sobie jego szczęścia... *il était fou de joie*, uniesiony, szczęśliwy, pijany... Nie pojmuję jak w pojedynczym człowieku tyle naraz szczęścia zmieścić się może... Wytłumaczył sobie że ty go kochasz, i to go tak uszczęśliwiło. Jeżeli się gniewać nie będziesz, to ci się przyznam, że mu tego nie starała się wybić z głowy...

— Czy ty nie żartujesz ze mnie, Andziu moja, — zapytała panna Julja niespokojnymi oczyma patrząc w oczy przyjaciółki.

— Nie żartuję, *je t'en assure*... o mnie więcej mowy nie było... wybiegł upojony szczęściem i jestem pewną, że dziś albo jutro złożysz swe serce u stóp twoich...

— Więc on się starał o ciebie tylko dla tego, że sądził, że ja go nie kocham?... rzekła żywo panna Julja, — chciał się pomścić nademną... był to rodzaj rozpaczny?..

— *C'est probable*... inaczej postępowanie jego ze mną wytłumaczyćby nie podobna.

Śczęście wstąpiło w duszę panny Julji i uśmiechnęło się przez jej oczy. Rzuciła się na szyję przyjaciółki.

— Dziękuję ci Andzieczko, — zawołała, — dziękuję ci, dziękuję!..

— Za co? — spytała Anna z dobrze odegranym zdziwieniem.

— Za co?... ty nie wiesz?... za to żeś mu dała tę lekcję... żeś mu odmówiła.

Anna roześmiała się głośno.

— Za to! dziecko jesteś Julciu, — odrzekła, — *quant à ça* nie ma za co dziękować... widziałam go bez okularów i nie potrzeba było wielkiej mocy nad sobą, a żeby mu dać arbuza.

C'était le fin mot de l'affaire Anna przyszła do panny Julji po to tylko by jej powiedzieć tę małą złośliwość, na którą się naprzód przygotowała, i do której przez czas cały z nią rozmowy zmierziała.

Następnie szybko i zręcznie zwróciła pogadankę na obojętne przedmioty, i wkrótce pożegnała przyjaciółkę, która, mimo radości jakiej doznawała, czuła w sercu ból śpilkowego ułucia.

XII.

Anna doskonale odgadła co pan Jan począł postanowił.

Tegoż samego wieczora, po kilkonasto-dniowej nieobecności, bohater nasz poszedł do domu państwa Anzelmów.

Tą razą był spokojniejszym jak dnia poprzedniego nie nadkładał drogi, nie cofał się, nie wracał, nawet fryzować się nie kazał ani razu, poprzestał na zwykłym uczesaniu, które dla niego zresztą było najodpowiedniejsze. W tej zmianie usposobienia, dziwniej na pozór, gdyż i dziś tak jak wczoraj sędli usłyszeć wyrok dla swego serca, nie było rzeczywiste nic nadzwyczajnego. Tak żołnierz po raz pierwszy idący do boju czuje w piersi wrzawę uczuć, których pokonać nie jest w stanie i drży choć mu nie brak odwagi, lecz kiedy mu powtórnie przyjdzie stanąć w ogniu, kule świszające koło uszu i pękające u swych stóp granaty wita uśmiechem jak stare znajome.

W salonie państwa Anzelmowa, oprócz gospodarstwa i ich córki znajdowało się jeszcze kilka osób.

Było to na ręce panu Janowi, — w liczniejszym gronie mógł łatwiej upatrzyć chwilę znalezienia się sam z panną Julją, uprębligania jej, wytłumaczenia się przed nią i usłyszenia od niej decyzji o swoim losie.

Pan Anzelm dowodził zgromadzeniu, że już Plinusz pisał o użytku drogich metali na monetę. Pani Anzelmowa dodawała jako komentarz, że było dwóch sławnych Plinuszów, starszy i młodszy, z różnicy ich wieku wyprowadzała wniosek, że nie byli bliźniętami tylko stryjcem i synowcem. Pan Jan nie słuchał tej rozprawy, szukał tylko oczyma oczu panny Julji, znalazł je i w ich spojrzeniu nie dostrzegł urazy.

Zbliżył się do niej, powitał ją i został powitany uprzejmie. Znajdowała się właśnie w tej chwili w pewnym oddaleniu od reszty towarzystwa, usiadł więc obok niej i zaczął rozmowę półgłosem, a zaczął ją od *mea culpa*.

— Ja wiele zawiniłem przeciwko pani, panno Juljo.

Po drzeniu w głosie jego, panna Julja, którą już przyjsie pana Jana przekonało o prawdziwości słów Anny, przeszła się o tem najzupełniej i przewidziała zaraz co mogła usłyszeć.

Pan... przeciw mnie?... jakim sposobem?... — rzekła czując się obowiązana do odpowiedzi.

— Tak pani... miałem zamiar, od pierwszego ujrzenia twego powzięty, powiedzieć pani prosto i szczerze jakim jest stan mojej duszy... zwątpiłem jednak o tem, żebyś słowem moim chciała dać wiarę... posądziłem panią, że jesteś jedną z tych istot, którym wychowanie oziębiło serce i uczyniło je niezdolnymi czuć. Zwątpienia tego mało nie przypłaciłem krokiem, któryby zatrzał całą przyszłość moją, krokiem rozpacznym, nierozważnym, szalonym. Cierpiałem wiele, alem się opamiętał w porę. Przebaczenie jest przymiotem dusz pięknych... przebacz mi pani.

— Nie rozumiem pana, — szepnęła panna Julja, głosem, który powiadał że rozumiała jak najlepiej.

— Jestem twoim, panno Juljo, na wieki, — zakończył pan Jan, — jeżeli wierzysz w moją miłość, jeżeli ją podzielasz... bądź moją.

Przez cały czas tej rozmowy, jakiś złośliwy szatan szeptał do uszu panny Julji te same słowa, które jej przed kilkoma godzinami powiedziała Anna:

— Widziałam go bez okularów... nie potrzeba było wysileń, żeby mu dać arbuza...

Nie mogąc się opędzić temu natrętnemu przypomnieniu myślała o niem mimowolnie, i po za

szkłami zielonemi chciała dopatrzeć tego uroku męskiej piękności, który raz tylko na przelotną chwilę ukazał się jej spojrzeniu, w który nigdy nie miała sposobności wpatrzeć się lepiej, lecz który tak wysoko wyidealizowała i podniosła.

Szklą świeciły swym zwykłym blaskiem, nic nie było widać za niemi.

Teraz zapytana o słowo, które miało ją związać na całe życie, już je chciała wyrzec stanowczo, gdy ten sam złośliwy szatanek znów jej słowa Anny powtórzył.

Było to silniejsze nad nią, nie mogła się oprzeć pokusie.

— Panie, — rzekła, — może się to panu dziecinie wyda w tak uroczystej okoliczności, ale nim panu odpowiem... chciałbym mi pan zrobić jedną grzeszność.

— Jaką pani?

— Przrzecz mi pan, że od tej chwili nie będziesz nosił okularów.

Tożsamość tego żądania z postawionem dnia poprzedniego przez Annę, uderzyła pana Jana: mimo to jednak nie odpowiadając ani słowa zdjął fatalne okulary.

Spojrżeli na siebie i nie poznali się. Jakby w jednej chwili spadła z ich oczu katarakta, która je dotąd zasłaniała, przejrżeli nagle i każde przed sobą zobaczyło zupełnie inną istotę jak się ujrzeć spodziewało.

Panna Julja naprózno w oczach pana Jana szukała, tego piękna i tej siły jakie w nich sobie wymarzyła, i jakie, przysięgłaby przed chwilą, że już raz w nich widziała przelotnie. Obraz piękniejący codzien w jej wyobraźni odbiegł z czasem tak daleko od rzeczywistości, że rzeczywistość nawet cieniem jego nie była.

Szatanek szeptał jej z tryumfem do ucha.

— Nie potrzeba wysiłku, by mu dać arbuza.

Pan Jan doznawał takich samych wrażeń. Gólem okiem nie zobaczył tej Julji o jakiej marzył i jaką widział kiedyś. Ta która przed nim siedziała była mizerną, bladą, oczy miała podsińnięte cokolwiek. W porównaniu z Anną nietylko nie była ładniejszą, lecz nie dorównywała jej wcale, skutkiem zmartwienia jakie świeżo przeżyła. Przytem na jej twarzy wypisało się, zamiast szczęścia, które pan Jan zobaczyć myślał, takie jakieś nieprzyjemne zdziwienie, że wątpliwości być nie mogło: dawna, mazona Julja rozwiła się i znikła, rzeczywista zaś Julja, którą miał przed sobą była Julją powszednią, nie przypominającą nawet ideału.

Długą chwilę patrzyli tak na siebie bez słowa. Usta pana Jana otworzyły się wprawdzie, lecz nie po to żeby przemówić, tylko żeby kształtem swym rozmaitości jeszcze dokładniej wyrazić zdziwienie. Jej wargi zacisnęły się za to, zacisnęły się tak silnie że różane ich obwódki zbieleły.

Obojgu nie dodało to wdzięku.

Trwało by to niewiadomo jak długo, gdyby pan Anzelm nie przystąpił do anap Jana, nie wziął go za wyłogę od tużurka i niezapytał.

— A pan co sądzisz o zdaniu Adama Smitha, że koszta produkcyjne są punktem środkowym regularnego koła cen targowych?

— Adama Smitha?... cen targowych? — powtórzył pan Jan nie wiedząc zupełnie o co chodziło.

Pani Anzelmowa wyprowadziła go z kłopotu.

— Wszak prawda mężu, że oprócz sławnego Adama, byli jeszcze dwaj inni Smithowie ekonomiści angielscy?

— A tak... a tak... — odrzekł pan Anzelm, — jeden pisał o teorii monety i wymiany, a drugi...

Pan Jan w tej chwili spojrzał na miejsce na którym tylko co siedziała panna Julja, ale już jej tam nie było.

Korzystając z wdania się ojca w ich rozmowę, odeszła szybko, zbliżyła się do kogoś z gości, i przez cały wieczór starała się tylko o to, żeby się nie znaleźć sam na sam z panem Janem.

Pan Jan ze swjej strony starał się o to samo, udając że bierze czynny udział w rozmowie o ekonomii politycznej, którą tego wieczora mniej jeszcze rozumiał niż kiedyindziej.

Gdy nadeszła dziesiąta pożegnał panią domu, uściskał rękę pana Anzelma, pannie Julji ukłonił się grzecznie, ale zdaleka i wyszedł.

Na schodach mówił do siebie:

— Już tu więcej nie przyjdę... to rzecz pewna.

Panna Julja kładąc się spać pierwszy raz od dni kilkunastu nie płakała.

— Co to jest złudzenie optyczne, — mówiła w duchu, — dobrzeby zrobił, żeby do nas więcej nie przyszedł.

Tak się skończył romans dwóch serc, które się przebudziły zapóźno, ażeby się pokochać i wiązać rozwód ze sobą przed ślubem.

Małżeństwa być nie mogło, śmierci nie było, o los bohaterów czytelniczki mogą być bez obawy.

Panna Julja wyjdzie zapewne za mąż — karnawał się zbliża, a w możność znalezienia męskich oczu odpowiadających jej wymaganiom wierzymy.

Anna spróbowała raz swjej potęgi, pewno drugi raz spróbować jej nie omieszka. Życzym jej szczerze, żeby tego nie robiła na żarty.

Panu Janowi cokolwiek większe zagraża niebezpieczeństwo... może zostać marcowym kawalerem, a to dla tego, że przyszedłszy do domu powiedział sobie.

— Ot, ludzie powiadają, że nie trzeba wierzyć w ukryte własności różnych rzeczy, w własności niedorzeczne na pozór... a przecież gdybym był nigdy nie zdejmował moich zielonych okularów, nie uległ bym złudzeniom, które mnie tyle zdrowia kosztowały. Przysięgam sobie, że ich odtąd nigdy w obec ludzi nie zdejmę.

Wiadomo, że pan Jan postanowił sobie nie żenić się póki nie pokocha i niezostanie pokochanym, a my bardzo skłonni jesteśmy wierzyć, że mu zielone okulary zakochać się nie pozwolą. Ztąd jego horoskop jest taki, że albo wcale się nie ożeni, albo też zmieni swoje przekonanie i ożeni się bez miłości.

Jedna z tych alternatyw warta jest drugiej, — obie są smutne.

Drezno 29 października 1867 r.

Korespondencja z Krakowa.

Kraków 12 Czerwca 1869 r.

Kto zwiedzał Kraków przed trzydziestą laty, znajdzie niemało różnicy: a nasamprzód wjeżdżając do tego starożytnego grodu, koleją żelazną, widać przede wszystkim że i to miasto, w przedmieściach swoich traci cechę dawniejszą. Obszerne budowle Dworzec kolej, wyniosłe dymiące kominy, parochody, i tabor wagonów, stosy węgla kamiennego, zwiastują ci nowoczesny postęp i ruch przemysłowy. Dopiero, wśród zielonych plantacji, które cały właściwy Kraków otaczają, w tym cieniu rozrosłych drzew, i ciszy, przygotowujesz się do ujżenia starożytności, który wszystkie cechy przedwiecznego miasta przechował.

Ta część właściwego i najstarożytniejszego miasta, w niczem się prawie nie zmienia. Stare kościoły, Sukiennice na Rynku i kamienice, stoją jak przed laty, nic w nich się nie zmieniło, nie przybyło w ich zewnętrznych kształtach, a nawet i barwie, bo tu domy rzadko się kiedy odnawiają, a przy restauracji, usilnym jest staraniem, zachować ich dawny charakter we wszystkich szczegółach nawet. Ale za to, w najwspanialszej świątyni Panny Maryi, która się szczyci arendzielcem długi Wita Stwosza, restauracja wielkiego ołtarza już jest na ukończeniu. Genialny ten rzeźbiarz rozpoczął pracę około niego w roku 1477 mając rok 30 życia, a skończył go w roku 1489: wyłącznie więc tej pracy poświęcił

bez przerwy lat dwanaście. W dwieście lat później restaurowano go wprawdzie, ale tylko złoceniem i malowidłem, lubo czas coraz więcej ten pyszny zabytek zeszczerbiał. Odpadały rzeźby drobniejsze już w całości już w części, główne figury uległy wpływowi lat, aż ujrano z przerażeniem, że jeżeli natychmiast, gruntowna i ze znajomością sztuki nie będzie przedsięwzięta restauracja, arcydzieło to przez smutne niedbalstwo zupełnemu ulegnie zniszczeniu.

Pierwszy, który podniósł głos wymowny, w celu ratowania dzieła Wita Stwosza, był Dr. Lepkowski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Głos ten znalazł przyjazne echo. Znalazł się i potrzebny potemu fundusz. Restauracja przedsięwzięta pod nadzorem profesora malarstwa Łuszczkiewicza, szybko podążyła do końca i w roku bieżącym jest nadzieja, że ołtarz ten, w całej swojej majestatycznej piękności odkrytym dla pobożnych zostanie.

Zielone świętki, były zimne i dżdżyste, dla tego też wiele na zwykłej świetności straciły. Pomimo to, wędrownka na *Bielany* była liczna. Na szczycie góry, w pośród zielonego lasu, z ponad którego wychyla białe swoje ściany kościół z klasztorem i wyniosłe wieże, liczne rozłożyły się taborem kramy i stragany. Niebrakło huśtawek i muzyki. Przy wyjściu z kościoła ślepy lyrnik przygrywał i śpiewał pobożne pieśni. Gwar wesołego ludu napełniał las cały, przez rok ubiegły tak cichy zwykle i samotny. Z wierzchołka góry, cudny krajobraz w dzień pogodny, posmutniał, zszarzał, od bałwanujących się chmur i deszczu. Ani Karpat, ani tym bardziej Babię-góry, widzieć nie można było. Cichy Kraków, największym zawrzała życiem chociaż tylko przez tydzień, z powodu *wystawy rolniczej*, urządzonej w obszernym ogrodzie *Bystrzanowskich*, po za Dworcem kolei żelaznej. Urządzana przez Towarzystwo Rolnicze, podług statutów powinna co trzy lata się powtarzać: tymczasem już od lat dziewięćciu z powodu rozmaitych, przeciwnych okoliczności nie była. Pomimo tak długiego przeciągu czasu, należycie Zarząd wziąć się do tego nieumiał. Zbyt późno rozesał o tej wystawie zawiadomienia, i dla tego, nawet z Galicji nieukazały się okazy wszystkie, któreby zarówno jej płody, jak i wyroby w całej pełni przedstawiły. Ze słynnych tutejszych stadnin, mało się ukazało koni: z najzawołańszych ani jednego egzemplarza. Za to było rogatę, było najświetniejszym okazem, i miarą jak wysoko chów ten doprowadzonym został. Drobiu krajowego w poprawnych gatunkach niewidzieliśmy, jakkolwiek zagranicznych niebrakło. Surowe płody, w małej części wystawione, nawet małego wyobrażenia nie dały o bogactwie ich, jakimi Opatrzność ziemię tę uposażyła. Z miejscowej fabryki narzędzi rolniczych Zieleniewskiego — i z poznańskiej po śp. Cegielskim, (obecnie prowadzonej przez Wład. Bentkowskiego) wyroby poczesne zajmowały miejsce. Z zagranicznych, młockarnie poruszane za pomocą lokomobil zwracały powszechną uwagę, szczególnie młockarnia z fabryki Drezdeńskiej, która wszelkim wymaganiem warunkom odpowiadała. Z wyrobów ludowego przemysłu, zaledwo z kilku wsi widzieliśmy próby, jakkolwiek tu ich nie braknie. Słowem, była to Wystawa mniej jak połowiczna, i słuszne wywołała sarkania, na nieogłędność i brak doświadczenia Komitetu który ją urządzał. Pomimo tak ujemnej strony, Kraków przez te dni kilka nowym, nieznanym sobie wrzał życiem, nie setki, ale tysiące spieszyły na Wystawę i przepełniały ogród *Bystrzanowskich*, gdzie od 6-jej z południa, doskonała muzyka wojskowa przygrywała. A przyznać trzeba, że orkiestry wojskowe, są tu tak wyborowe, iż śmiało o pierwszeństwo z Bilssem walczyć mogą. Każda też złożona jest z prawdziwych artystów. Teatr krakowski przed samą wystawą, opuścił Kraków i wyjechał do Poznania. Nierozumiemy tej nieogłędnej spekulacji Dyrekcji, ażeby opuszczać miasto w czasie tak licznej zjazdu. I ta spekulacja zawiodła, albowiem gdy tu teatr byłby przepełniany, przedstawień kilka było wiele skromnych, i zaledwo koszta reprezentacji pokryć zdołały. Trupa

teatru Krakowskiego, choć pozbawiona swojej perły w osobie pani Modrzejewskiej, a wkrótce i Rapackiego, do najlepszych należy.

Każde przedstawienie, odznacza się starannością i artystycznym oddaniem. Nie mówimy nie o pani Aszpergerowej, bośmy jej na czterech ostatnich przedstawieniach nie widzieli, ale *primadonną* obecnie jest pani Hoffmanowa, ulubiona artystka publiczności krakowskiej. P. P. Ekerowa, Borkowska, są to wyższego talentu aktorki, również jak pani Nowakowska, która oprócz tego zaleca się ujmującym wdziękiem postaci. Niemożem także pominąć panny Bendównę młodą i pełną uroku. Z personalu męskiego, na czele stoi pan Benda, który śmiało, w rolach pierwszych kochanków, mógłby być ozdobą i teatrów Warszawskich: po nim pp. Eker, Wolański, Ładnowski (syn), Wolski, wszystko wytrawni artyści. Oddzielnie przychodzi mi mówić o p. Nowakowskim. Syn wielkiego artysty, który w rolach kontuszowych był nieporównany, niepośledni po ojcu wiał talent. Znać jak rozumie i pojmuje każdą rolę, umie w każdej wydobyć najwydatniejsze jej strony, i przyszłość ma przed sobą świetną, gdyby mniej przesadzał i umiał panem być swego głosu. Ta przesada, ta częsta zmiana głosu, nieodpowiednia często charakterowi, psuje wrażenie i stawia Nowakowskiego na deskach sceny, nie jako artystę z rzetelnym talentem (a ma go za prawdę) ale jako kamedianta dla gawiedzi, nie dla lubowników prawdziwych.

Pani Modrzejewska, po kilku wystąpieniach w teatrach amatorskich na cele dobroczynne, wyjeżdża w góry dla spoczynku, i d. 20 Sierpnia r. b. przybywa na stałe mieszkanie do Warszawy, jako artystka teatrów Warszawskich. P. Rapacki, opuszcza scenę Krakowską i także angażowany do Warszawy przyjedzie w Październiku.

Muszę tu zapisać szczególnie sposób rozpowszechniania pism peryodycznych. Niemasz zwyczaju roznoszenia po domach, tylko każdy z prenumeratorów przysyła do właściwej księgarni, w której złożył przedpłatę. Największa bywa zawsze ciżba przed najdawniejszą księgarnią w Rynku u Józefa Czecha, bo rozdała tu dziennie około 600 egzemplarzy. Od szóstej po obiedzie do 7-jej, służące, lokaje, stróż, niańki z dziećmi gromadnie stoją tu wyczekując na nowe numera gazet i dzienników. Mała to niewygodna podczas pogody i pory letniej, ale w zimie, lub deszczowej jesieni, nie mały trud i przykreść. Daremnie ten najstarszy księgarz w Krakowie, po kilkakroć chciał urządzić rozsyłkę po domach za małą opłatą miesięczną po dziesięć centów. Nikt się nie znalazł, aby przyjął tę usługę wygodną a niekosztowną, woląc iść dawnym zwyczajem oszczędzenia tych dziesięciu centów, bez względu na marnotrawstwo czasu, z powodu długiego nieraz oczekiwania przez służbę. Jeden jest tylko sposób, ażeby ten upór przełamać, żeby Redakcyje same rozsyłały, ale na ten krok nowy, żadna się odważyć nie śmiała. Maj dżysty, a nawet i Czerwiec, obfite zapowiadają urodzaje: we wzorowo zagospodarowanych Krzeszowicach, już skończono pierwsze koszenie łąk, z których cztery bywają corocznie ciąć, napełniając atmosferę balsamiczną wonią.

K. Wł. Wojcicki.

Korespondencja z Wiednia.

Jakkolwiek listów moich nie chciałbym zapełniać drobnostkami, często będących rozwlękłą gadaniną o rzeczach mało interesujących, nie podobna mi jednak pominąć otwarcia nowego teatru opery, już dawno przez Wiedeńczyków niecierpliwie oczekiwanego. Uczucie artystyczne do sztuki, szczególnież też do muzyki, w mieszkańcach tutejszych jest bardzo rozwinięte: nowy to dowód zmieszania pierwiastku germańskiego ze słowiańskim o czem w przeszłej korespondencji mówiłem. Pieśń słowiańska coraz dalszym i szerszym rozplywa się strumieniem po świecie, chwytają ją wiele muzyki a nawet Bethoven uległ jej czarowi i niby perły

rozsyłał niektóre melodie, na złotej tkance swych muzycznych tonów. Z napływem słowiańskiego żywiołu, pod wpływem serdecznej jego pieśni, pan-cerz fedaolcznego rycerza zmieknął i stając się mniej twardym, obudził uczucia mało przedtem rozwinięte, realizując je w słodycz domowego pożycia i żądze użycia światowych rozkoszy. Muzyka znalazła tu więc przeważnie dla siebie stanowisko, i Wiedeń ze wszystkich stolic europejskich stał się najmuzykalniejszym.

Zapowiedziane zatem otwarcie nowego teatru, obudziło we wszystkich wielkie zajęcie, zwłaszcza że wiedziano o wielkich przygotowaniach i chęci uświetnienia dnia tego niezwykłym przedstawieniem. Ale zapal Wiedeńczyków do zabawy, hamowany jest zawsze rachunkiem porównawczym, wydatku z otrzymaną za niego przyjemnością. Jeżeli zysk nie (dpowiada stracie i mniejszym jest od niej, zabawa zapowiedziana, gniewa a nie przynęca i choć najwięcej obiecująca, przez ogół odepchniętą z pewnością zostanie. Tutejsi przemysłowcy a nawet pierwszorzędni artyści zawiązujący często o Wiedeń, znają to dobrze i bardzo są oględni w naznaczaniu cen na swe wystąpienia. Nie jest to jednak zmateryalizowanie, jakby wielu powiedziało, ale rozsądna oględność w szafowaniu groszem ciężko zapracowanym. Wiedeńczyk chętnie płaci za zabawę, za każdą choćby najmniejszą przyjemność, bo wie że za wszystko trzeba płacić z czego się korzysta, ale unika ruiny, którą pojmuje bardzo dobrze jak jest srogą i nieubłaganą. Gdy więc dowiedziano się, że w celu pokrycia znacznych wydatków wstępnego w nowym teatrze wystąpienia, cena łoża pierwszego piętra oznaczona została na sto reńskich a krzesła w pierwszych rzędach na 25, wrzawa ogromna powstała między Wiedeńczykami.

— Cóż to? — mówiono wszędzie, czyż nas mają za Krezusów lub nababów indyjskich, wyciskających złoto z krwawej pracy swych poddanych? Setki i ćwierć setki reńskich za kilka godzin spędzonych w teatrze, za wysłuchanie jednej opery, prologu poetycznego i hymnu, to wygląda na szyderstwo. Gdyby przynajmniej z nowymi wystąpiono artystami, gdyby pokazano choć jednego śpiewaka co potęgą głosu góruje nad naszymi zasłużonymi pracownikami opery i jak jaskółka ma odlecieć w obce strony, aby się już w Wiedniu więcej nie pokazać, byłoby to jeszcze jako usprawiedliwienie. Ale ogłoszenia nic podobnego nie obiecują. Będą śpiewać sami znani artyści, z pomiędzy których pani Diulmann i pani Wilt nie posiadają już dawniej świeżości głosu: p. Rokitański i p. Beck ruszać się zaledwie umieją na scenie a p. Walter więcej zaleca się umiejętnością śpiewania jak pięknnością tonu. Mimo tego artystów naszych poważamy, znamy ich wybornie, wiemy ze stanu powietrza który z nich po pierwszym zaraz akcie ochrypnie, który udaruje nas kogutami, który będzie się oszczędzać a który odezwie się fałszywym tonem i o ile w nim nie dociągnie, czy na ćwierć czy na pół tonu. To nasze po-błażanie z dwóch wynika powodów: z szacunku dla niezmordowanej pracy naszych artystów, i z pewnością że lepszych nigdzie nie ma. Opery ogólnie chorują wszędzie na brak dobrych śpiewaków: dawniejsi ciągną jeszcze jak mogą, gardła obwijają szalami, nogi chronią od zamoczenia, polykają surowe jaja, ale przyjdzie czas że i te ochronne środki okażą się bezsilnymi, a wtenczas kto ich zastąpi?

Szanujemy więc artystów naszej opery, ale to uwielbianie nie myślimy opłacać setkami reńskich. Szlachetność podobna byłaby marnotrawstwem, która by nam wpręde drzwi teatru na zawsze zamknęła: nie chcemy więc siebie pozbawiać przyjemności, teatru widzów a sztuki peparcia, i dla tego pierwsze przedstawienie w nowym teatrze nie zwabi nas do siebie. Groźba jednak na nie się nie zdała: teatr nie był przepełniony ale zgromadzenie publiczności było liczne. Czy przedstawienie powiodło się? O tem różni różnie mówią. Rozgniewani Wiedeńczycy podwyższeniem ceny biletów, krytykują niemilosiernie sam gmach teatralny. Powiadają, że wspaniałość jego podobna do bogatej sukni, a jednak ciasnej i niewygodnej i źle do figury przypasowanej.

Rzeczywiście wewnętrzne jego urządzenie nie jest tak dogodnym jak dawnego gmachu, w którym choć każda łoża miała stare krzeselka, pokryte pokrowcami różnej barwy i gatunku, innej wielkości lustro lub lusterko, i całe wnętrze było splowiałe jakby kurzem okryte, to jednak na brak wygodny nikt w nim nie mógł narzekać. W dalszym ciągu mściwych swych uwag, dodają jeszcze, że panna Walterówna przedstawiająca genjusza Wiednia, wypowiedzeniem długiej tyrady o mało nie uspiła zebranych widzów: że z kwaśną niezmiernie miną rozwinięła sztandar złożony z dwóch tylko kolorów, czarnego i złotego będących barwami czysto austriackimi, z pominięciem koloru czerwonego godła niemieckiej narodowości: — że wreszcie gdy około artystki jako genjusza Wiednia, zebrały się wszystkie narodowości składające cesarstwo austriackie, to wtenczas panna Walter wyglądała jak ozywiona wieża Babel, rozganiająca trzymany gmach sztandarem zgromadzone u stóp jej ludy na wsze strony świata.

Co do głównej części przedstawienia, złożonej z opery Mozarta Don Juan, narzekano na złą akustykę sali, skutkiem czego dęte instrumenta a mianowicie blaszane, przygłuszały niemilosiernie nie tylko chóry bardzo silne, ale nawet instrumenta smyczkowe.

Na przedstawienie przybył cesarz punkt o siódmej z całym dworem i wszystkimi arcyksiężkami: cesarzowej nie było z powodu ciężkiej słabości swej młodszej córki. Wreszcie od dwóch lat jest ona tylko gościem w Wiedniu i większą część roku przepędza w Peszcie, w którym spotkać ją często można idącą pieszo przez ulicę. Niełaskę tę spowodowała prawdopodobnie oględność Wiedeńczyków w czasie wojny z Prusami, w której mało dbając o wawrzyny wojenne, więcej zajęci byli ochronieniem siebie od spodziewanych szkód i wydatków.

Dziś z powrotem cen dawniejszych, pogodzone się wreszcie z teatrem: nad dyrektorem opery któremu prolog ze względów czysto politycznych poobcinano ubolewającą pannę W alterownie pozbawioną spodziewanego wrażenia przez wycofanie z chora-gwi koloru czerwonego, na pociechę przyklaskują: artystów przywołują, chóry i orkiestrę chwalać a nawet i akustykę sali teatralnej nie znajdują tak złą jak się z początku wydała. Z jednych tylko germanofilów uśmiechają się skrycie, kontenci że im za protegowanie podwyższenia cen w teatrze, wypłatanego figla usunięciem wszelkich manifestacji na korzyść wydartej przewagi w Niemczech. Rachunek więc na rozumnej oszczędności oparty, zażegnał burzę teatralną i dziś Wiedeńczyk najspokojniej zapija piwko lubując się wonią cygarowego dymu.

E. Sit....

Symbolika kwiatów i roślin.

PRZEZ

profesora J. Berdau'a.

Tojad (Aconit, *Aconitum Napellus*). Przedstawiający się jako piękny i wyniosły kłosa kwiatów chelmiastych, ciemno-błękitnej barwy, i trafiający dziko niekiedy po naszych lasach, a w Karpatach bardzo pospolicie, bywa także wszędzie po ogrodach dla piękności utrzymywany, zwłaszcza po ogródkach włóściańskich, mało go gdzie brakuje.

Tojad chociaż piękny, jest jednak silną trucizną, i dla tego symbolizuje chytryść i podstęp. Często się zdarza, że ktoś ma zwyczaj wysysać w ustach kwiatki uszczknięte na polu lub w ogrodzie, a to dla przyjemnej słodyczy czyli miodu, jaki się w nich znajduje. Z kwiatkami bzu tureckiego i z wielu innymi, można to robić bezkarnie, lecz broń Boże dotknąć się w tym celu ustami kwiatów tojadu. W helmiastych bowiem kwiatkach tej rośliny, znajduje się wprawdzie bardzo wiele miodu, lecz miód ten jest ostry, gwałtowny kurez gardła sprawiający, a przytem tak palącego smaku, jak pieprz turecki. Jest to nawet dosyć powszechnie wiadomą rzeczą, że miód zebrany w górach, gdzie dużo tojadów rośnie, szczególnież przez trzmielę, jest jadowity. Nawet trafiały

się z tej przyczyny wypadki otrucia, chociaż znów taki miód owadom, jak się zdaje wcale nie szkodzi. I bukiet z tojadów zwłaszcza dzikich zebrany, a w gołym ręku trzymany, jest szkodliwy, jak się to pewnemu turyście po górach podróŜującym przytrafiło, że mu ręka od tojadów nagle puchnąc poczęła.

Wedle staroŜytnego mytu, tojad powstał ze śliny Cerbera; a Medea przygotowywała z tojadu truciznę, którą chciała Theseusa otruć. Lud nasz uważa tojad jako lek na smutki, jeŝliby to ziele kto nosił przy sobie. Wedle podań ukraińskich, z Toja napój zrobiony, rozwesela smutnego młodzieńca (moŜe nawet doprowadzić do szaleństwa); pomaga do zapomnienia doznanych cierpień. U rusinów zaś na Pokuciu, toja jest skutecznym przeciw tak zwanym morowej zarazie.

Pogadanka.

Pogoda a z nią i ciepło jak na złość nie chcą się ustalić. Kapryśnica ta ciągle w niezgodzie z Warszawiakami, a dla Warszawianek lubiących popisy w świeŜym przystroju, dla członków komitetu zabawy w Saskim ogrodzie, prawdziwe z niej utrapienie. Jeden z Przekór moich pogadankowych, czasami występujący w rolach samotnych Filipa z konopi, na narzekania kobiecego towarzystwa na niepewność i zmienność pogody, zatarł ręce radośnie i uŝmiechając się odrzekł złośliwie:

— Wyraźnie gramy w stare przysłowie: ten do Sasa a ten do lasa, tylko Sasem jest tu aura a lasem wy moje piękne panie. — Pogoda! — powiadacie klaszcząc w rączki i dalej do gotowalni aby użyć przechadzki i towarzystwa. — Warszawa się stroi! szepcze sobie aura i nuŜ chmurzeć, szumieć, kręcić, pluskać a czasem i burczeć i piorunować, ot i najpiękniejsze zamiary zmarniały, najśliczniejsze buzie sponępniały, najlepsze chęci uwiędły. — Proste to następstwo niezgody w jakiej żyjecie z aurą, niechęci i braku serdecznego współczucia, jakiego łaknie i słusznie domaga się.....

— Ale co gadasz mantyczny Przekoro — zawołało chórem kobiece grono — czyż to aura jak ją nazywasz staroŝwieckim obyczajem jest istotą żywą? Czyż....

— Zwolna piękne panie, zwolna — odrzekł Przekora — Aura pod względem atmosferycznym jest to obecność: obecność jest czasem teraźniejszym, w tym czasie mieszczą się ludzie a ci ludzie żyją z sobą nie zawsze po ludzku, szczególniej gdy je rozłącza układ społecznego porządku. Nic więc dziwnego, że gdy wy moje panie spieszycie do gotowalni, aura chmurzy się, kropki deszczem i gniewa.

— To prawdziwa łamigłówka — odezwało się kilka głosów — jest w niej niby troszkę prawdy, tylko nie ma lekarstwa.....

— Przeciwnie jest lekarstwo, tylko zastrzegam sobie, aby oryginalność jego nie bardzo was moje panie rozsmieszyła.

— Na troszeczkę zatem śmiechu zezwalasz?

— Zezwalam ale proszę o cierpliwość.

— Zgoda! mów więc panie Przekoro.

I naraz jeden Przekora z szyderskim uŝmiechem, z zimnym wyrazem twarzy jak mróz chrupiący śniegiem, podobny do pokrzywy lub ostu co za najlżejszym dotknięciem parzy lub kole, otoczony został wieńcem powabnych buzi, kwitnących na jagodach różyczkami. Ciekawość ze wszystkich ocz niezwykłym blaskiem trysnęła i spojrzenia krzyżujące się i łączące nad głową zestarzałego marudy, zdołały ją jakby aureolą, przy której nawet zimna powaga twarzy, nabierała pewnej niezwyklej serdeczności.

— A zatem — odezwał się po chwili — żeby harmonja panowała między wami i aurą, potrzeba spełnienia dwóch rzeczy.....

— Słuchamy! słuchamy!

— Pilnowania deŜurów w kuchniach tanich i zajmowania się na tak zwanych wizytach i przechadzkach w dnie powszednie, jak w ogrodach lub w Dolinie Szwajcarskiej ręczną robotą.

Słuchające miały wielką ochotę wybuchać ogólnym śmiechem, ale przypomniawszy sobie umowę

powstrzymały się i tylko lekkim poruszeniem ust zdradziły do wesołości usposobienie.

— Uŝmiechacie się moje panie, — odezwał się znowu Przekora — a jednak nic prawdziwszego nad to co powiedziałem. Pilnowanie deŜurów nauczy was wiernego spełniania przyjętych obowiązków: zajęcie zaś robotą ręczną, zamiłowania pracy i jej poszanowania. W społecznościach w których znaczna przynajmniej większość spełnia swe obowiązki i ma zamiłowanie i poszanowanie pracy, tam panuje ład i harmonja we wszystkim; tam moje panie raj i nieznanne żale i narzekanie. Ze zaś ludzie żyją w czasie, czas jest obecnością a obecność pod względem atmosferycznym stanowi aurę, więc społeczność zgodna w sobie, potężna siłą ducha i z aurą będzie w zgodzie i ta przestanie płatać jej figielki na które teraz tak narzekacie.

Tą razą lica słuchających spowaźniały; widocznie struna rozwagi zadrgała w tych uŝmiechniętych przed chwilą twarzyczkach.

— Mój Przekoro — odezwała się wreszcie jedna, dowodzenie twoje jest tak jasne, jak traktat metafizyczny zwykle ani przez autora ani przez czytelników nie rozumiany.

— Ja domyślam się czegoś, odezwała się druga — widzę w tem prawdę ale tak małą, tak gdzieś zdaleka pobłyskującą, że nie wiem czy to gwiazdka tak świeci, czy iskierka z niedogaszonego ogniska.

— Oba określenia są dobre — zabrał na nowo głos Przekora — i oba cieszą mnie niewymownie, bo dowodzą że słów moich nie zaraz moje panie zapomnicie. Myślcie więc, łamcie sobie główki, nie będę wam ani przeszkadzał ani ułatwiał ich zrozumienie. Dodam tylko kilka słówek: przypomnienie wielkiej prawdy. Oto moje panie nie zapominajcie nigdy, że jesteście piastunami całych pokoleń co po nas mają władać światem. Cześć wielkich ludzi dla swych matek, dowodzi wpływu na nich zacnych rodziców, bo cześć zdobywa się, więc musi być praca i zasługa u tych co ją otrzymują. WdroŜone do spełniania przyjętych obowiązków, cnotę tę wpoicie w umysł najdroŜszych wam istot na ziemi, i przyszłość dostanie obywateli, co przy powinności swęj tak stać będą jak Spartanie przy przejściu w wąwozie Termopilskim. Ukochawszy zaś pracę, mając cześć dla niej na jaką zasługuje, wygubić próżniaków, darmozjadów, marnotrawców, a przedewszystkiem zniszczycie przesądne klasyfikacje ludzi, które tworząc rozdział osłabiają wszystkich, bo ich nie jednoczą ale rozpraszają na oddzielne światki, mające swoje słońca i swoje atmosfery.

— To widzę nowoŜytna filozofja — przerwała jedna ze słuchaczek, a Przekora szusnął ukłonem, nachylił głowy że aż błysnęła łysina i z najuprzejmiejszym uŝmiechem mruknął:

— Nie pani, to Ewangelja.

— A! więc i amen zapewne niedalekie, — dodała złośliwie słuchaczka.

— JeŜeli pani kaŜe, to go w tej chwili wymówię i ucieknę na cztery końce świata.

— Zatrzymaj się Przekoro, w drodze szczególnej łaski udzielamy ci jeszcze chwilkę posłuchania i w odpowiedzi na twą wielką prawdę, zadam ci małe zapytanie. Otóż przypuściwszy że masz słusność, całą zatem kwestję wprowadzając na drogę praktyczną, powiedz nam jak wzmocnić słabnącą ochotę do deŜurów w kuchniach tanich: i jak wprowadzić zwyczaj zajmowania się robotami na wizytach i przechadzkach — u nas dotąd nieznanym?

— Bardzo łatwo nadobne moje słuchaczki. W deŜurach trzeba tylko wdroŜyć w siebie przekonanie, że obowiązek kaŜdy to nie zabawa, ale praca jak kaŜda inna, którą winniśmy przyjmować nie dla tego że z początku bawi, ale że przynosi ogółowi poŜytek. Co do ręcznego zajęcia w czasie wizyt i przebywania w ogrodach, to przedewszystkiem zapytam was czy to uważacie za rozumne i poŜyteczne?

— No naturalnie że niema w tem nie naganego.

— JeŜeli tak, to tylko trzeba mieć odwagę do dania pierwszego z siebie przykładu. W początku ciekawość osób obcych zwracających oczy na taką pracownicę, moŜe być niemilą i natrętną, ale ciekawość zuŜywa się, oswaja z przedmiotem zaciekawiającym

a gdy dobry przykład oŝmieli inne, zamieni się w pochwałę i przerzuci na rączki założone melancholicznie w lubem próŜnowaniu. Trzeba tylko mieć jak powiedziałem, odwagę i wytrwałość a czas resztę dokona. W początku słuŜyć do tego mogą szudelkowe roboty, później pończoszka a w końcu wypłynie i igielka z wielką pociechą domowej oszczędności. Cóż panie na to?

— Pomyślmy panie Przekoro, pomyślmy.

— Czy długo namysł trwać będzie?

Słuchaczki nic nie odrzekły, tylko figlarnie pogroziły Przekorze, uŝmiechnęły się i rozpierzchyły po salonie szepcząc coś pomiędzy sobą.

— Nie uciekajcie piękne panie — zawołał Przekora zobaczywszy się osamotniony — powiem wam na ocukrowanie odytęj gawędki, parę słówek o pięknej Helenie operze Offenbacha, ściągającej ciągle wielkie tłumy do teatru.

— Cóż? — podobno bardzo komiczna i zabawna?

— Nadzwyczaj — uŝmiałem się na przedstawieniu jak dawno nie pamiętam. Wszyscy artyści grają wybornie, lekko, swobodnie, z werwą i z życiem prawdziwie artystycznym, nie ma nigdzie zamięszania, wszystko idzie mile, składnie i tak naturalnie, że widz najbardziej zadumany musi się rozczmuchać i rozweselić.

— A to musimy zobaczyć piękną Helenę, musimy, musimy — ozwały się w około głosy a Przekora wstrząsnął głową i zapytał.

— I tak bez namysłu, odrazu postanowiliście moje nadobne słuchaczki?

Dalsze słowa wymówił już bardzo niewyraźnie, bo wyciągniętych sześć par rączek zamknęły mu usta a oczy nakazały milczenie. Nie było więc rady: Przekora uznał się zwyciężonym i zasiadł w najdalszym kąciaku salonu, dając na wszystko badawcze spojrzenia.

OBRAZY

NA WYSTAWIE ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

w Warszawie

Portrety p. Dukszynskiej. Horowitza, Millera, Kurelli i Heymanna.

Nie mówiliśmy dotąd o portretach, gdyż te nie będąc owocem twórczości, nie wykazując polotu wyobraźni, mało niezmiernie dają materiału do piśmiennego o nich rozgadania się. Trzebaby mówić o samym rysunku, o jego większym lub mniejszym stopniu doskonałości o kolorycie, sposobie traktowania i wykonania całości, co wszystko należy do ścisłej krytyki i wychodzi z ram pobieżnego przeglądu. Przytem sąd o portrecie bez znajomości oryginału, niezmiernie trudny. Czasami podobieństwo, główne zadanie prac tego rodzaju, pilnie przestrzegane, usprawiedliwia różne usterki: jakże tu więc wytykać jej i kłaść na karb artysty, kiedy jedyną moŜe jego winą była chęć przygotowania kopji jak najwierniejszej. Na wystawie znajdują się portrety czterech artystów i jednej artystki p. E. Dukszynskiej głównie jak się zdaje poświęconej malarstwu pastelami. Często zmieniane jasno świadczą, że zajęcia w tym kierunku nie brakuje, że fotografia w malarstwie portretowym wytrąciła tylko pędzel z rąk nieudolnych, a przynajmniej nie umiejących schwytać podobieństwa, nie śmiejąc jednak dotknąć rąk kierowanych prawdziwym talentem.

Wszystkie portrety wspomnianych artystów, p. p. Horowitza, Millera, Kurelli, Heymanna i p. Dukszynskiej, o ile zdaje się zalecają się wielkiem podobieństwem: znać w nich życie i naturalność co przypuszczenie to zupełnie usprawiedliwia. Nie ma w nich tej artystycznej moŜe wystawności, jaką słynęły niegdyś portrety zgasłego tak przedwcześnie s. p. Simlera, ale nie ma i wad coby spychały je na podrzędne stanowisko. Opracowane starannie nawet w szczegółach, pochlebnie świadczą o poszanowaniu sztuki, o poprawności rysunku i naturalności kolorytu. Szczególniej przyznać to należy p. p. Horowitzowi i Millerowi: większa bowiem liczba okazów przez tych artystów wystawiona, do-

zwoliła lepiej wpatrzeć się w ich prace, a tym sposobem i lepiej wysledzić dodatnią ich stronę.

W pastelach p. Dukszyńskiej jako zapewne wychodzących z pod ręki kobiety, przebija zadną chęć zrobienia portretu pięknym. Nie jest to wprawdzie wada, a nawet do pewnego stopnia uważanem jest za konieczność, ale we wszystkim powinno być zachowane umiarkowanie. Otóż zdaje nam się, że granicę jego cokolwiek artystka przekroczyła: tak bowiem w portretach p. Dukszyńskiej, w ułożeniu figur, w ubiorze, wszystkie szczegóły są wygładzone, wymuskane, z takim przedstawione ładem i porządkiem, że mimowoli na sztywność jakby na przymus wyglądają. Czasami bywa to cechą osób portretowanych, których zachowanie nadaje tak upragnione podobieństwo, ale tylko czasami a nie zawsze. W portretach zaś p. Dukszyńskiej pamięć aby wszystko pięknie się przedstawiło zanadto widnieje. Wada ta czy zaleta przebija się także i w kolorycie, co umniejsza życie w twarzach tyle zawsze pożądane. Uniknienie tego nie jest tak trudne, a ujawni lepiej talent artystki jaki w wysokim stopniu bezzaprzeczenia posiada. Trzeba tylko na to pracy usilnej, starannych studji i czasu. Portret p. Kurelli o ile się zdaje jedyny, zaleca się śmiałością w traktowaniu pędzlem i rysunkiem, i kolorytem przypominającym jakby Rembrandta. Znać tu talent prawdziwy, ciekawibyśmy tylko więcej prac p. Kurelli oglądać bo z jednej trudno coś stanowczego wyrzec. Radzimy mu jednak wyrzec się naśladownictwa a trzymać się drogi jaką mu wskaże własne usposobienie. P. Hejmana znajdują się dwa portrety, i u obu dziwnym trafem czy zapomnieniem, linja od środka czoła przez nos przechodząca zdaje się być w ustach skrzywioną. Być może że to jest wiernem odwzorowaniem natury, czasami bowiem takie zboczenia zdarzają się w twarzach ludzkich, ale w podobnych wypadkach wybór pozycji osoby malowanej zależy wyłącznie od artysty. Winien więc ją tak ułożyć, aby wada ta nie została uwydatniona, co łatwo dokonać zważywszy, iż zwykle malarze, twarz w malowaniu przedstawiają w trzech czwartych części jej rozmiarów, a czwartą pozostawiają prawie niewidzialną. Tu jednak skrzywienie linji nie zdaje się być wadą natury, ale rysunku.

Oprócz portretów p. Millera, znajdują się jeszcze tegoż artysty: Dwie dziewczyny — Dziewczyna z Rzymu i Młodzi Lazaroni. Wszystkie te osoby zapewne są także portretowane, tylko Dwie dziewczyny na krakowianki wyglądające zdają się być utworami imaginacji.

Sądząc ze stroju, są to proste wiejskie dziewczynki z których jedną blondynkę, jakąś tęszną, zadumaną, z modrem okiem a szlachetnymi rysami twarzy, przystraja w wianuszek kwiatów śniada brunetka, uśmiechnięta radośnie, widząc że ten dodatek do włosów skromnie zaczesanych, dobrze przypada do urody zamyślonej towarzyski. Obie buzie ładne choć zupełnie odmienne, ale brunetka niezmiernie przypomina dziewczynę z Rzymu tegoż artysty, a blondynka panią wziętą z salonu i tylko na chwilę przemienioną w kuligową pannę młodą. Przyczyną tego głównie koloryt. Śniadość bowiem twarzy krakowianek, jest zupełnie odmienna od miedzianej cery Rzymianek, i znać, że tu jest wynikiem opalenia od słońca, tam zaś wypływa z rasy. Co do blondynki wyglądającej na pannę salonową, wiemy bardzo dobrze, że wiejskim dziewczętom nie brak wdzięku i nadobności, że umieją tęsnić, marzyć i zamyślać się, ale objawy tego są odrębne zupełnie, im tylko właściwe, zdradzające zawsze trud pracy na jaki od dzieciństwa prawie są skazane. Względem ten nie był obcym p. Millerowi, znać to w zatareiu na rękach młodych pracownic wszelkich śladów wypieszczania, a przedstawienia budowy ich fizycznej w całym rozwoju siły, a jednak brunetka to nie nasza krakowianka a blondynka to nie wiejska polska dziewczyna. Widocznie postacie z Rzymu wyniesione zanadto zespoliły się z pamięcią p. Millera, kiedy nie mógł się nawet z niemi rozstać przy malowaniu naszych wieśniaczek. Mimo tego gdziekolwiek dziewczyny są wielce poważne, można je bardzo polubić a nawet być cieka-

wym zająrzeć w myśl ładnej blondynki, i spytać się za kim tęsni i o czem marzy w poetycznym swem zamysleniu.

Dziewczyna Rzymu tegoż artysty, zdaje się być bardzo wiernie odportretowana, tak znać w niej że to dziecię obcej ziemi: to samo można powiedzieć i o dwóch młodych lazaronach, prawie dzieciakach, w ubogiem niezmiernie ubraniu, ale z zadowolonymi minami zajądających z wielkim smakiem winogrona. We wszystkich tu szczegółach, w połatanych majteczkach, w opiętej kurtce, w rozmamannej koszulinie, wreszcie w główkach kędzierzawych, w usmiechu, w spojrzeniu, wszędzie wytryska prawda ujękioną artystem.

Przed miesiącem czy więcej, był także na Wystawie portret p. Modrzejewskiej znaną artystki dramatycznej wykonany również przez p. Millera. Piękna ta praca, pamiętamy, że zalecała się wielkiem podobieństwem; szczegóły jednak uszły pamięci, czego przez wzgląd na dzisiejszy przegląd artystyczny, niezmiernie żałujemy. Szkoda tylko że artysta nie przedstawił całej w nim postaci, jak to było zwyczajem s: p. Simlera. A był to mistrz w tego rodzaju pracy z widocznym corocznie postępem: zalecały go wszystkie przymioty dobrego portrecisty, zręczny układ osoby portretowanej, dokładność w rysunku, plastyczność, delikatność i miękkość kolorytu, tryskające z płótna życiem i prawdą. Pomiędzy tysiącem prac innych artystów, portrety jego najpierw z pewnością zwróciłby na siebie każdego uwagę; do tej wyższości doszedł tylko mozolną pracą, bez której nawet największy talent na wyżyny sztuki nie wejdzie.

Na odpoczynek.

Przesiedziałam godzinę, dwie może — wieczorem,
Po całodziennym trudzie, gdy już spocząć wolno,
I świat duchowy jaśniejszy staje nam otworem,
Milo jest nim zawiadnąć, i myśl swą mozolną
Puścić w pogoń z chmurami, w marzeń kraj daleki.
Bo cóż dla niej granicą, czy ziemią czy wieki?
Czy to jaskrawe słońce co w zachód schyłone
Purpurę swoją dumnie podarło na szmaty,
I po niebie ściemniałem aż na wschodnią stronę,
Rozrzuciło wspaniale, nim poszło za światy,
By jako świadek ludzkich, całodziennych czynów,
Zanieść tam Ojcu modły i lzy ziemi synów.
Ah! ja lubiłam słońce gdy rzucało blaski,
Na świat młodych mych złudzeń, pierwsze życia brzaski.
Dawniej, gdy serce jakoś tak radośnie biło,
Gdy ranek jego życia wschodził jeszcze jasno,
Zdawało mi się słońce, że cudniejsze świeciło,
Ze mu ognie te złote nigdy nie przygasną.
Dziś... długo muszę nieraz przecierać me oczy,
Budzić wspomnień, pamiętek i łez długie dzieje,
Za nim zdołam dopatrzeć blask jego uroczy,
Nim się ta chmur obsłona na chwilę rozwieje...
Dziś też, nie lubię słońca — gdy pierzeły marzenia.
Bo mi niby urąga blask jego promienia.
Bo mnie to jego ciepło nie grzeje — lecz chłodzi.....
Ach! czyż i słońce nawet — na świecie zawodzi?
O! świećcie dla ludzkości, gdy dla niej zaświecisz
Słońce! to i w mej duszy, szczerą radość wzniesiesz.
Bo czem ja? czem ma boleść wśród ogoła świata?
O! niechaj samolubnie moja myśl nie wzłata.
Bo może — tam w tej chwili gdy o sobie marzę,
Jęczy gdzie biedna matka, pasując się z życiem,
A u jej łoża dziełek popłakane twarze,
Pochylają się nad nią; gdyż z jej serca biciem
Ostatniem, dla nich także skończy się istnienie.
Bo ta matka jedyna, to skarb ich i mienie,
Ta matka, była także słońkiem na ich niebie,
Ta matka! zapomniała co to żyć dla siebie,
Aby tylko nakarmić, ogrzać dziatki biedne:
A dziś — gdzież one w ten świat pójda same jedne?
Tam znowu w innej stronie gdzie osamotniona,
Może płacze małżonka, której mąż wielbiłony,
Musiał od niej w dalekie gdzie uchodzić strony.
Albo nieszczęsnej matce, może dziecię kona,
Jedyny cel jej życzeń, radość i pociecha;
Indziej może rodzinna komu płonie strzecha;
Lub rozbukana rzeka zabiera dostatek,
Topi ludzi, dobytek. Lub bitwa gdzie krwawa,
Spragnioną żarem ziemię, ludzką krwią napawa.

Albo może nie jeden zapomniany kwiatek,
Nie jedno smutne dziewczę, płacze gdzie w ukryciu,
Więdnie marnie, bo tylko cały jej dostatek,
Całe bogactwo serce: więc zamknął swe progi
Dla niej świat, i samotna — i pusto w jej życiu,
Chociaż urokiem pracy rozświeca swe drogi.

Zwykle moje przechadzki odbywam do Krzyża
Po za wsią, gdzie się droga pod lasem rozszerza,
I tu przynoszę wszystko podtyle stopy Święte,
Co się przez dzień wydarzy, co w pracy poczęte.
Co dobrego gdzie w ludzkich sercach dla mnie mieszka,
I co dla nich mam w mojem; — ta znana mi ścieżka
Tu mnie wiedzie przebaczać, tu błagać o siłę,
Ludzką przyjaźń do walki, po sierociej drodze
Tego życia bez słońca, które pracą słodzę.
Tutaj jeszcze przychodzę modlić się za temi,
Którzy mi są, lub byli najdrożsi na ziemi!

Augustyna S.

KOBIETA I MĘCZYZNA W ZESTAWIENIU.

WYŁĄCZNE PRZYMIOTY KOBIETY

WEDŁUG

Ernesta Legouvé

PRZEZ

Klemensa Podwysockiego.

Co to jest kobieta? Zapytanie to jest zarazem odpowiedzią. Nie zapytują co to jest mężczyzna? Dzieje przeszłości i teraźniejszości wyraźnie go określają. Od pierwszej chwili historii świata i cywilizacji, postępanie jego nacechowane zostało pewnym charakterem, gdy od tej równie chwili kobieta zjawia się z tajemnicą na czole. Jest więc czem innym jak my, od świtu swego życia. Rozjaśnienie własnej tej różnicy jest naszym zadaniem.

Na pierwszy rzut oka, dwie te istoty przedstawiają się nam jako wielce do siebie podobne. Kobieta, równie jak mężczyzna nosi w swém łonie duszę nieśmiertelną. Równie jak mężczyzna posiada zdolności umysłowe; podobnie jak on ma poczucie piękna, dobra i prawdy. Gdzież spoczywa różnica? Czyż wszystkie te czynniki duchowe są u kobiety na niższym stopniu siły i rozwoju? Lub nierówny ich podział nadając w pewnym względzie pierwszeństwo mężczyźnie, w innym znowu stawia wyżej kobietę? Całe zadanie spoczywa właśnie na tych dwóch przypuszczeniach. Pierwsze z nich przemawia za bezwarunkową wyższością mężczyzny; lecz jeżeli i drugie ma w sobie prawdę, to prawo o równość może stanąć do walki i mieć nawet pewne nadzieje zwycięstwa. Wiekowe niewolnictwo kobiety dowodzi tej prawdy, iż świat dotąd widział jedynie potrzebę zdolności męskich, i że nie wybiła jeszcze godzina dla postępania kobiety. Otóż, skoro powiadamy, iż godzina ta nie wybiła dotąd, to nie upoważnia to nas do zawyrokowania, iż nie wybije już nigdy. Heżto wieków potrzeba było, zanim wyrzeczono tę mądrą maxymę: wszyscy Francuzi równi są w oczach prawa! Powolne wprowadzenie jakiegobądź idei, nie tylko nie dowodzi jej niepożyteczności, lecz przeciwnie, przemawia częstokroć za istotną jej wielkością. Zasady wolności, ludzkości i braterstwa, są zasadami zbyt jeszcze młodzieńcze, i kobieta dla tego właśnie więcej ma dla nas domyślną wartości, iż sprawa jej jeszcze nie zażyumfowała.

Otóż zacznijmy zestawienie porównawcze tych dwóch istot i zacznijmy najpierw od przymiotów fizycznych. Fakt wielkiej wagi uderza nas w dziedzinie zwierząt. Jeżeli lwica mogłaby zazdrościć lwu, jego pysznej i królewskiej grzywy, jeżeli jelen ma na czole wyryte zwierchnictwo swe przyrodzone toż za to w całym państwie ptaków drapieżnych, samice górują nad samcami. W rodzie sokołów samica jest większą od samca. W rodzinie orłów, orlica jest silniejszą od orła. W dziedzinie owadów, mrówki, pająki przemawiają za wyższością samiczek. W tych nawet ich podziałach, w których siła jest udziałem samca, przewaga ta nie sięga nigdy po władztwo; nie masz wcale, o ile wiemy, panów w ro-

dzinach zwierząt, a raczej spotykamy pewne władztwo w jednej klasie owadów, lecz tu właśnie samica jest panią. Mówimy o pszczołach, których ule przedstawiają nam dziwny obraz rodziny, gdzie ojcowie są rządzani, karmieni i zabijani przez matki.

Z pomiędzy tylu wzorów w naturze, według którego mianowicie stworzył Bóg rasę ludzką? który posłużył mu za wzór w tej mierze? Żaden i wszystkie. W żadnej bowiem innej dziedzinie stworzeń, przewaga siły męskiej nie jest tak wybitnie charakterystyczną, jak w rasie ludzkiej, lecz u żadnej za to wdzięk oblicza i ujmująca postać nie są tak, jak w tej rasie, wyłącznym udziałem płci żeńskiej.

Ciało zaiste jest narzędziem, powłoką, tłumaczem ducha.

Jako narzędzie, organizm męczyzny góruje widocznie nad organizmem kobiety. Lecz jeśli zapatrywać się będziemy na ciało, jako na tłumacza ducha porównanie wypadnie całkowicie na korzyść kobiet. Piękne oblicze kobiety zdaje się być arcydziełem stworzenia. Kobieta jest o tysiąc razy wymowniejszą jak mężczyzna. Fizjonomia męczyzny, ruchy jego, nacechowane są bez wątpienia szczególną energią i silnym akcentem. Oblicze kobiety przeciwnie: cudowne to narzędzie gibkości, bogactwa uczuciowego i urozmaicenia, ma w sobie wszystkie odcienia. Męczyzna ma dziesięć spojrzeń, kobieta posiada ich sto; męczyzna ma jeden tylko uśmiech, kobieta ma ich tysiąc. Głos nadewszystko, u nas jest dźwięczny i mocny, u kobiety zaś ma on półtony, ćwierćtony, które wolne są odtworzyć wszystkie wibracje serca i myśli.

Tak więc, we względzie ciała, męczyzna ma przewagę we wszystkim co jest siłą, kobieta góruje zaś w dziedzinie piękna. A więc zawsze podobieństwo w różności.

Przejdźmy teraz do zdolności umysłowych obu tych płci.

W przeglądzie tym stają najpierw przed nami: rozum z poważnymi swymi atrybutami, i wyobraźnia ze swym uśmiechniętym i ruchliwym orszakiem.

Zacznijmy więc od rozumu i codziennego jego zastosowania, które objawia się w rozumnym rozporządzeniu życia powszedniego i cechuje się wyraźnie umiejętnością zachowania porządku, zastosowaniem środków domowych do wydatków, co nazywamy popolicie bilansem domowym. Owoż musimy tu przyznać pierwszeństwo kobiecie.

Powiemy nawet, iż gdyby wychowanie kobiet zastosowaniem było zawsze i ściśle do tej ich roli, to rozsądne te gospoście wprowadziłyby, do administracji domowych skarbow i do zarządu spraw rodzinnych taką roztropność w szczegółach, taką dokładność, na jakie nigdy się nie zdobył potężny rozum męczyzny. Męczyzna umie zdobywać, kobieta zaś zachowywać fortunę. Znowu podobieństwo w różności i konieczność stowarzyszenia.

We własnościach rozumu leży również owa trafność sądu, która w trudnych chwilach wskaże nam odrazu czegośmy się chwycić powinni. Owoż męczyzna i kobieta okazują w tym względzie przymioty wcale różne: męczyzna kieruje się w takich razach wyłącznie rozważą i widokami osobistymi, kobieta idzie za głosem uczucia, instynktu; męczyzna widzi prawdę, kobieta zaś ją czuje. Zwrócenie się w chwili niedoli po radę do kobiety, ona odpowie wam w mgnieniu oka stanowczym tak, lub nie, odpowiedź jej strzeli jak iskra z ogniska, lecz nie wymagajcie po niej badania źródła jej zdania, może nie potrafiłaby je wam wskazać, lecz upewniamy was iż opinia jej była słuszną. Nie nawykła wcale do poważnej analizy logicznej, nieuzdolniona od natury do systematycznego tworzenia pojęć, kobieta jest rozumna li tylko przez natchnienie, również jak jesteśmy przez nie poeta. Przeciwnie cała podstawa rozumu męczyzny spoczywa w rozważaniu: doradca pewny, lecz powolny, on potrzebuje uprzednio być sam oświeconym o rzeczy, by następnie dać ją wam zrozumieć. Musi on wprzód zestawzić wszystkie zdania „pro“ i „contra“. Męczyzna więc jest rozumnym drogą rozumowania

Kłóremi z tych dwóch rozumów należy przyznać przewagę? Zdaniem naszym, żadnemu. Rozdzielcie je, a każdy będzie miał pewną wartość; połączcie, a dopełnią się wzajem.

Rozum pomaga nam również poznawać bliźnich i znać siebie samych. Znać bliźnich, znaczy to znać ludzi i człowieka, osobę i rodzaj. Przenikliwość kobiety jest nierówną w poznawaniu pojedynczej osoby. Najmniejsze poruszenia serca, najstaranniej ukrywane śmieszności, najgłębsze tajniki i wrażenia jednostki, są dla niej odkryte i jawne, jak płyn w przezroczystym naczyniu. Cały system obrony i panowania kobiety opiera się na tej znajomości, która częstokroć takiej dochodzi potęgi, iż zrównoważa prawo i zwyczaj społeczne. Uzbrojona wszelką tą umiejętnością, kobieta wyzwała się nieopstrzeżenie z pod władztwa męża; kokietka zdobywa panowanie. Lecz tu już krańce przenikliwości kobiety. Kobieta zna wybornie znajomych sobie ludzi, lecz nie zna człowieka, nic nie jest dla niej tajemnym w jednostkach, lecz za to wszystko zakryte dla jej oka w rodzaju. Tam gdzie potrzeba wznieść się do usystematyzowania pojęć dorywczych, gdzie trzeba z nich wysnuć prawa filozoficzne ducha ludzkiego, lub uczynić systematyczny wykład władz umysłowych człowieka, lub wytłumaczyć sztukę poruszenia się masy, narodu, stowarzyszenia, tam kobieta gaśnie a natomiast wyłania się męczyzna. Świat czynów tak żywo uobecniiony jest w umyśle kobiet, iż zasłania mu całkiem świat idei.

Najwyższym tego dowodem służy sposób w jaki ona zna samą siebie. Kobiety dziwną posiadają świadomość swych uczuć i swego oblicza. Dzięki elektryczności, że tak powiemy, czułości, kobiety nierównie więcej doznają uczuć od nas, — i odczuwają silniej to co czują, cała strategia kokieteryj, umiejętność spojrzeń, przelew głosu, odcienia w ruchach, jawią nam w kobiecie istotę, wpatrującą się w twe życie do najdrobniejszych szczegółów. Rzekłbyś, iż przegląs się ona wiecznie w niewidzialnym jakimś zwierciadle, a wszakże „poznaj samego siebie“, w obszernym znaczeniu filozoficznym, dla niej jest obcem. Kobieta nie zna siebie umiejętnie; nie zdołałaby powiedzieć samej sobie, czym jest. Inaczej być nie może. Umysł analityczny wyłącza zupełnie syntezę. Umysł ludzki tak jest niedoskonałym w samej swój wielkości, iż wyższość jego kładzie mu czasami sama granicę. Znamienny Geoffroy Saint-Hilaire był następcą Buffona, dzięki jego potężnym władzom syntetycznym i wysokiemu pojmowaniu ogólnych praw natury, lecz za to nie mógł nigdy wznieść się do pochwycenia szczegółów, w czym górował właśnie analityczny umysł Cuviera, do czego Geoffroy sam się przyznawał. Dziwna rzecz, powiadał z prostotą wyższego umysłu: „Gdy przechadzamy się z panem Cuvierem w galerji małp, on widzi tysiące małp, ja zaś tylko jedną“. Jeden więc z nich posiadał znajomość jednostki, drugi ogarniał całość: oto cała historia męczyzny i kobiety.

Ztąd więc wnosimy stanowczo, iż systemata Metafizyczne, oderwane, opinie polityczne muszą być obojętne lub obce dla kobiet. Jeden jest środek tylko do przejęcia ich tym wszystkim: przeprowadzić, że tak powiem zadania te przez ich serca. Odmalujecie kobiecie smutny stan jakiego kraju, w skutku nieludzkiej instytucji, a natychmiast zagłosuje namiętnie o „prawach człowieka“. Toż samo w pojęciu o Bogu. Dla nas Bóg jest przedmiotem badania, jest cześć; dla kobiet, On jest ktoś; my Go sobie tłumaczmy, częstokroć stwarzamy, one Go kochają. Kobieta może nawet częstokroć, drogą nauki, dojść do pojmowania rzeczy oderwanych, lecz nigdy nie wzniesie się do twórczości. Żadna teoria matematyczna, żaden system metafizyczny nie był dziełem kobiety. W Grecji, gdzie kobiety otaczały z takim zapalem katedry filozofów, Pitagores liczył cały zastęp niewiast w rządzie swych uczni, a jednak ani jeden układ filozoficzny nie powstał w głowie kobiety. Pojętne jako opowiadaczki, namiętne jako sekciarki, kobiety słaniają się i upadają na progu twórczości.

Są one artystkami w skutku samego swego ustroju duchowego. Wrażliwe jak artysta, jak on istoty przeważnie duchowe, odczuwają one, że tak powiemy najdelikatniejsze odcienia w atmosferze uczuć. Jak artystę, uderza je to wszystko co świetne; jak

artyście cięży im świat rzeczywisty; nadto, niektórymi przymiotami ducha górują nad artystą. Ten bowiem w miłości nawet, w zachwycie, widzi jeno sławę, to jest samego siebie. Kobieta zaś w samej nawet sławie widzi jeno miłość, to jest kogoś drugiego. Wszystko więc zdaje się ją powoływać do stania na czele, a przynajmniej do zajęcia pierwszorzędnej miejsca w dziedzinie sztuk pięknych.

Lecz z kądże to wynika, iż od czasów najdalszej starożytności do dni naszych, historia sztuk nie cytuje nam bodaj jednego wielkiego utworu, z napisem imienia kobiety?

W malarstwie i rzeźbie ani jednego obrazu, ani jednego nieśmiertelnego posągu, którego autorem byłaby kobieta.

W muzyce, ani jednej wyższej symfonji, ani jednej opery, ani nawet sonaty, (mówimy tu rozumie się o arcydziełach), które byłyby utworem kobiety.

W dramaturgji, ani jednej niemasz tragedji, ani jednej istotnie znakomitej komedji, któraby wyszła z pod pióra niewiasty.

W epeji, toż samo zjawisko; historia, z kolei, ani jednego Tacyta, lub Tucydya żeńskiego nie pokaże nam w swych zastępach.

Jakto sobie wytłumaczyć?

Przez niedokładność wychowania kobiet? Zapewne jestto jeden z powodów tego fenomenu, lecz nie jedyny, a może nawet nie główny. Wykształcenie, naprzykład, muzykalne gra nierównie ważniejszą rolę w wychowaniu kobiet, jak w naszym; profesja teatralna stoi zarówno otworem dla aktorek, jak dla aktorów, wszakże ani usilne wtajemniczenie się w arcydzieła harmonji, ani zetknięcie ze smakiem publicznym, które stworzyło w części Moliera, Schekspira i Lesage'a, nienadały kobietom geniuszu muzycznego, lub dramatycznego.

Potrzeba więc szukać rozwiązania tego arkanum gdzieindziej, a mianowicie w naturze istot i rzeczy.

Na czym polega geniusz dramatyczny? Mówimy geniusz a nie talent. Na znajomości nie ludzi jedynie, lecz człowieka. Czyli innymi słowy, ani rozum, ani biegłość i dowcip, ani znajomość jednostek, ani zręczne pochwycenie śmieszności na dobie, nie wystarczają do stworzenia geniuszu, który rośnie na jedynym podstawie: znajomości całego rodzaju ludzkości. Geniusz, w dziedzinie wyobraźni jest tem samym czym synteza w filozofii.

Co stwarza historyka! Znajomość wielkich przewrotów politycznych i społecznych, i filozoficzne pojęcie powszechnych praw ducha ludzkiego; pewność w ocenieniu namiętności i instynktu masy; w końcu umiejętność oderwania się od swojej epoki, od swego kraju i wcielenia się w inne wieki i inne narody, nie przestając jednak wyrokować o nich samodzielnie. Słowem, potrzeba tu wszystkich władz oderwanych.

Co stanowi wielkość epeji? Oto to, iż ona jednę ze wszystkich utworów sztuki w ogóle i poezji w szczególności, zbiera w jednym wypadku, cały wiek cywilizacji, cały naród i całą jego wiarę. Otóż najwyższą syntezą poetyczną.

Tak więc, opierając się na tem pobieżnym studium moralnym kobiety, powiemy stanowczo, iż braknie jej władz, które składają się na utworzenie geniuszu. Kobiety, w najszczytniejszych wyżnachs sztuki, mogą się okazać świetnymi, poruszającymi, wymownymi nawet, lecz nigdy istotnie wzniosłymi. Ztąd więc można im zaznaczyć trzy rodzaje drugostopniowe piśmiennictwa, które może im obiecywać świetny stopień odznaczenia się: Elegję, Romans i styl Epitolarny. Tu, wszystkie ich władze są w swoim żywiole; niedostatki nawet stają się zaletami.

Poeta-męczyzna w Elegji, nie jest twórcą, który panuje, a staje się raczej niewolnikiem, który słucha natchnienia. Dusza jego upojona sama sobą, lub rozrzucona własnym zbytkiem smutku, unosi się, wypowiada się. Kobiety nadały, a raczej wykryły w tej poezji serca dźwięki nierównane. Są o bytło najświetniejszy śpiew, ze wszystkich chórów niewieścich, jakiemi szczyliła się starożytna Grecja i dzisiaj, kiedy powołanie literackie otwarło się znów dla kobiet, uczucie miłości i macierzyństwa znalazły w nich wykonawców i tłumaczy nie tyle może umiejętnych, lecz istotniejszych, głębszych, jak w znakomitych naszych poetach.

Romans, w stosunku do dramatu i epeji, jest tem

czem jednostka w zastosowaniu do massy. Wszystko to co jest najgłębiej osobistem w każdej moralnej istocie, wszystko co jest prawdą, za obrębem i obok prawd powszechnych, rozmaitość, oryginalność, excentryczność nawet, stanowią najbogatszą i najnaturalniejszą jego dziedzinę; w sercu ludzkim on szuka tajemnic. Żyje i karmi się nadewszystko analizą. Toteż w rodzaju tym piśmiennictwa niemało mamy bardzo biegłych autorek.

W końcu, przejdźmy do stylu epistolarnego. Jest to improwizacja. Improwizacja uczuć i wyrażań. Uczucie ródzi słowa; słowo z kolei ródzi uczucie. Im więcej myśl ma niespodzianek dla tego co mówi, i zagadek dla tego co słucha, tem więcej rozmowa staje się zajmującą. Ruchy, spojrzenia, akcent przychodzą w pomoc mowie; cały światek powiewnych idei ulatuje, podobny do przezroczystych i lekkich baniek mydlanych, rozszalałych i nieujętych, znikających za najmniejszym dotknięciem, rodzących się nanowo, za nowym podmuchem. To wyłączna dziedzina kobiet.

WIADOMOSCI BIBLIOGRAFICZNE.

Obraz bibliograficzny — literacki za rok 1868 przez K. W. nakładem Księgarni Mau, Orgelbranda, obejmuje treściwy opis wszystkich dzieł i broszur wyszłych w roku zeszłym. — Cena kop. 60.

Tablica statystyczna wszystkich krajów na kuli ziemskiej znajdujących się, opracowana podług tablicy Ottona Hübnera z r. 1868 przez K. W. cena kop. 20.

Doniesienia literackie.

N. 79. *Przyjaciela Dzieci* wyszedł z druku i zawiera: Indjanie Amerykańscy, przez K. P. (z dwiema rycinami). Niebieski płaszcz. Pierwszy dobry uczynek, (dokończenie). — Owady. — Dobre dzieci (z ryciną). Bajki Ignacego Krasickiego, Czapla ryba i rak. — Cena w Warszawie miesięcznie kop. 35, kwartalnie rs. 1 kop. 5, na prowincji w Cesarstwie i zagranicą, kwartalnie rs. 1 kop. 75.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego.

Rycina 27 przedstawia jeden koniec paska na drutach robionego z andaluzyjskiej wełny kolorowej, podług upodobania. Siedm oczek robi się w poprzek tam i na powrót gładko i ściśle w żądanej długości, następnie dodają się brzegi, to jest szydełkiem robione pikoty ze złotych, stalowych lub czarnych perełek. Na każdy pikot idą dwa powietrzne oczka, zsuwając perełkę tuż przy szydełku i wrabiając w ostatnie powietrzne oczko, jedno ściśle, przez co perełka wystąpi na odwrotnej stronie, która będzie prawą stroną stanowiąc. Następnie w pierwsze powietrzne oczko jedna laseczka, każde ściśle oczko z wysuniętą perełką w 3 brzeźne oczka zrobione, łączy ząbki. Dla lepszej mocy paska, podszywa się go wzdłuż samym środkiem gumową tasiemką lub sznurkiem tej samej długości, i razem przyszywa do stalowej zapinki. Gumowy ten sznureczek zmieniać się daje łatwo w razie potrzeby.

Nr. 28 i 29. *Dwa wieńce do okrągłych kapeluszy.*

Nr. 28. Ubranie z kłosów. Jęczmień na drucie ułożone kłosy, otacza się dwiema girlandkami uwitami z listków dziurki róży; to wszystko połączone jest na przodzie pęczkiem fijołków.

Nr. 29. Wieńczyk ze wstążki. Mantynowa lub atlasowa wstążka 4½ cent. szeroka, układa się w dubeltowe kontrafałdy na drucikowej tasiemeczce czyli agremanie. Wieńczyk ten zakończy się rozetą ze wstążki złożoną wachlarzykowo w 8 fałdów z wiszą-

ciami końcami, przy niej z jednego boku pęczek kłosów i pawie piórko.

Nr. 30. *Końce do barby z białym haftem i frywolitkami.*

Dla dokładnego zrozumienia podajemy końce tej barby w naturalnej wielkości; mogą one zarówno służyć jako krawat, lub szarfy do kapelusza muslinowego jak rycina 31 przedstawia. Szerokość takiej barby dowolna.

Nr. 31. *Okrągły kapelusz z muślinu.*

Główka kapelusza robi się z kawałka muślinu owalnie skrajanego, 17 cent. długiego, 20 szerokiego. Muślin ten zaszywa się wzdłuż w 4 wążkie zakładeczki na wciągnięcie drucików 19 cent. długich. Rondko wymaga kawałka muślinu 90 cent. długiego 12 szerokiego, podwójnie wziętego, który oddalając się od złożenia na 1½ cent., przesywa dla naciągnięcia druta. Pierwszy naciągnięty drut trzymać powinien 65 cent., drugi 58, trzeci 51, a ostatni czyli ten co wewnętrzny brzeg otacza 48 cent. Następnie łączy się skończone rondko z główką na bokach lekko przymarszczoną i podszywa muślinowym woreczkiem w wiadomy sposób. Ubranie na rycinie stanowi muślinowa barba, zakończona haftem i frywolitkami. Przód zdobi kokarda także muślinowa, przepięta bukietem róż nakrapianych rosą.

Nr. 32. *Okrągły słomiany kapelusz.*

Szarfa z szamoą krepą, u dołu oszyta czarnym koronkowym brzeźkiem, 19 cent. szeroka, przypina się w około owalnego kapelusza. Kwiaty z piór jak rycina 34 wskazuje i gałązki z bluszczu w rodzaju girlandy, zdobią wierzeh kapelusza.

Nr. 33. *Motyl z piórek.*

Dzisiejsze kapelusze nie mogą się obejść bez jakiejś oryginalnej ozdoby, toż samo się dzieje z ubraniem włosów, zwłaszcza dla młodych osób. Taką zachwycającą a łatwą do zrobienia ozdobą, jest motyl z piórek na rycinie 33 przedstawiony. Każda połowa motyla wymaga za podstawę dwóch piórek ze sztywnymi środkami (osadkami). Powinny być one białe, wykrawane podług wzoru ryciny 33 w ząbki; malują się na nich czarne pojedyncze punkci i gładki czarny brzezek, który następnie smaruje się lekko gumą i złotym piaskiem posypuje. Obydwa te piórka nalepia się na pół cent. szerokim, a 3 centy. długim pasku z tektury lub skórki, podszytym w środku cienkim drucikiem, w ten sposób, aby pomiędzy obydwoma skrzydełkami zostało miejsce na tułów motyla. Na te pierwsze białe skrzydełka nalepia się znowu 4 lub 5 lśniących bażancich piórek rozmaitej wielkości, jedno nad drugim, podług załączonego wzoru. Najlepsze są na to piórka koloru pomarańczowego, które w braku naturalnych zastąpić można nadaniem tej barwy białym piórkiem. Tułów robi się z połowy dudki gęsiego pióra, wykrojonej jak wzór przedstawia. Dudkę tę posmarować należy gumą i błyszczącym piaskiem posypać. Na rożki motyla, biorą się długie pojedyncze od pawich piórek szypułki nagumowane, złotym piaskiem osypane. Motyl ten osadza się na druciku skręconym, który mu nadaje bujające poruszenia. Oczy z drobnutkich czarnych paciorków.

Nr. 34. *Makowy kwiatek z piór.*

Ulubione te kwiaty z piór bardzo łatwo tanim kosztem wyrabiać można. Na środek kwiatu, bierze się naturalna główka maleńkiej makówki i przymocowuje się na cienkim druciku. Makówkę tę otacza się bardzo gęstą z czarnych nici frendzelką, której

końce maczają się w gumie, a następnie w miłko mielonej kawie, dla naśladowania pyłku kwiatowego. Dwa rzędy liści z pojedynczych na jasno czerwono farbowanych piór, którym się nożyczkami nadaje kształt potrzebny, nalepia się w około środka. Do zrobienia pączków używa się trochę waty z wprowadzonym wewnątrz drucikiem na gałązkę; tę watę pokrywa się jasno zieloną krepą albo lino-muślinem i przewiązuje wzdłuż bardzo moc. o wilgotną nitką, która później odwiązana pozostawia odcisk na wymagalne przecięcie pączka. Aby lepiej naśladować szorstkość powłoki, pączek macza się kilka razy w gumie, a następnie tacza się go w drobnutko strzyżonej krepie. Na pączek tylko co rozwinać się mający, wkłada się w środek jego wierzchu, kilka małych czerwonych piórek, kosmate korzonki tej makówki, robią się z druciku okręcanego wążko krajanym krepowym ukosem. Piórka na zielono farbowane, podług dołączonego wzoru wycinane, stanowią liście do makówki.

Nr. 35 i 36. *Dwie kokardy do włosów z pawimi piórami.*

Nr. 35. Wachlarzowa kokarda z kolorowej atlasowej wstążki. Na petynetowej podstawie 6½ cent. długiej, a 2½ szerokiej, układają się pojedynczo w kształt wachlarza fałdowane części wstążki. Na każdą taką część trzeba ukroić kawałek 10½ cent. długi, a 3 cent. szeroki. Pojedyncze złotem błyszczące długie szypułki pawich piór, przymieszać należy jako ozdobę tej pięknej kokardy.

Nr. 36. Kokarda z pawimi oczkami. Kokarda 16 cent. długa, z kolorowej atlasowej wstążki, układa się na podstawie petynetowej oszytej drutem, długiej na 6 cent., a 1½ szerokiej. Oba końce kokardy winny być 4½ cent. szerokie, pukle zaś w jedną stronę układane w 4 fałdy, 3½ cent. wysokie, robi się ze wstążki 9 cent. szerokiej. Ozdobę kokardystanowią pomiędzy punktami i końcami długie pawie szypułki i pawie oczka.

DONIESIENIA.

Krótką Grammatykę Polską przez Winc. Dawida. Wyszła w Lublinie u Wł. Kossakowskiego, w 4-m poprawnem i powiększonym wydaniu, nakładem księgarza J. Błaszkońskiego i jest do nabycia we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincji po cenie kop. 30 (złp. 2).

Tegoż Autora jest do nabycia za cenę zniżoną kop. (20) w znaczniejszych księgarniach książeczka pod tytułem:

Metoda Początkowego Nauczania czyli przewodnik dla rodziców, początkowych nauczycieli, nauczycielek i w ogóle dla osób kierujących pierwszą nauką dzieci. Dziełko to obejmuje plan i cały porządek początkowej nauki w najważniejszym jej perjodzie od 7-go do 10-go roku, i wyjaśnia metody wykładu każdego z przedmiotów najniezbędniejszych i koniecznych dla dzieci, tak w wychowaniu domowem jako i publicznem.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.